

# Lenczowski piotr

## Zdrów jak ryba

Z „fahrenheit”

Ilustracje: Małgorzata "Asfodel" Jakubiak

### I. Człowiek

*W tłustej, pełnej ślimaków głębi czarnoziemiu  
Sam dla siebie wykopię rów obszerny w miarę,  
Jak rekin w morzu drzemie, zasną w zapomnieniu  
Wyciągnąwszy swobodnie swoje kości stare.*

**Charles Baudelaire "Wesoły Zmarły"**

Oko poruszyło się żywiej. Pod płaszczem bielma przesunęła się zdrowa tęczęwka, koloru mniej więcej zielonego. Chuda twarz wykrzywiła się lekko, a plaster, który jeszcze przed chwilą zakrywał paskudnie zaropiałą ranę odkleił się i popłynął z nurtem rzeki.

Marzecki miał dobry dzień. Od rana udało mu się nie zerwać zestawu. Wędkował od szóstej i łykał wodę z jeziora, usiłując zabić odległe wspomnienie kawy nęcące wewnętrzne zmysły. Nie mógł pić kawy od czterdziestu lat.

Jego serce nie wytrzymało. Zresztą każdy, kto dźwigał dziewiąty krzyżyk na karku otrzymywał co pół roku urzędową ulotkę przypominającą, że nie powinien palić, pić, ani folgować innym, nieskromnym zachciankom bo bioregeneratory nie są wszechmocne.

Wiekowiec nie może tracić zdrowia. Niezrozumiały dla laików mechanizm bioregeneratora utrzymuje go jedynie przy życiu. A Marzecki był wiekowcem, takim jak z reklamy "Senior One" - miał sto trzydzieści jeden lat i dwoje prawnucząt, które rozpoczynały studia, pracowały i łożyły nań. Miał również zbyt wiele wolnego czasu, co owocowało tym, że przybywał nad rzekę przed wschodem słońca i, bardziej z nudów niż z potrzeby, wpatrywał się w sondę ujawniającą kryjówki ryb. Potem przygotowywał zestaw, zakładał na haczyk ciasto własnej produkcji i wędkował. Nie wyciągnął żadnej ryby od pięćdziesięciu lat i w skrytości ducha modlił się o ich jak najmniejszą aktywność. Obawiał się, że jeśli kiedyś poczuje żywego przeciwnika na wędce, dostanie zawału serca i żaden bioregenerator mu nie pomoże. Wiedział, że czeka go jeszcze jakieś pięć lat spokojnego życia i starał się cieszyć każdą chwilą.

Teraz niestety nadchodził najmniej przyjemny moment całego dnia. Musiał zejść z łowiska, bo niedługo nadciągnąć miała fala plażowiczów, którzy najczęściej nie życzyli sobie obecności wiekowca nad wodą. Siedemdziesięcioletni młodzieńcy, z żonami, dziećmi i wnukami nie chcieli patrzeć na rozpadającego się ponadstulatka, który swą obecnością przypominał im z pewnością o nadchodzącej starości. Kiedy usłyszał syk chlorowego silnika nadjeżdżającego samochodu ukrył się w krzakach, odczekał chwilę i ruszył przez zagajnik, do domu.

\*\*\*

Śnił niepokojąco realnie i blisko.

Zapierał się z całych sił, lecz nie był w stanie ustać na nogach. Potężny przeciwnik sunął pod wodą i niemal zrywał węglową żyłkę. Był niewidoczny, lecz Marzecki potrafił wyobrazić sobie potężne zęby, tnące wolframową stalkę. Wokół pływała masa połamanych gałęzi. Wyglądały jak zaostrome kije - było niemal pewne, że jeśli tam wpadnie, nadzieje się na nie i wykrwawi, stając się karmą dla swego rybiego przeciwnika. Strach przejrzał się w oczach Marzeckiego - na drugim brzegu ujrzał staruszkę spacerującą z psem. Tę z reklamy posiłków dla wiekowców.

Obudził go modulowany pisk bioregeneratora stabilizującego serce.

\*\*\*

Był wieczór, plażowicze dawno odjechali, a Marzecki z trwogą zagniał ciasto. Bał się zarzucić. Drżał na samą myśl o dotknięciu kołowrotka. Nie widział jednak innej drogi przewyciężenia strachu. Musiał spróbować, choćby bioregenerator miał się przepalić. Musiał. Inaczej nigdy już nie zbliży się do rzeki.

Ciężarek poszybował wysoko. Uderzył płasko w powierzchnię wody, wydając nieprzyjemny plusk, na pograniczu skrzeku. Marzecki powoli napiął żyłkę i wsparł wędkę o wystruganą z drewna podpórkę. Jego myśli niemal automatycznie powędrowały w stronę dawnego przyjaciela Johna Tylona, angielskiego reżysera, którego poznał wiele lat temu. Człowieka rozkochanego w rzekach i rybach doliny. To naprawdę było wieki temu. John przyjeżdżał przez kilka lat i traktował go jak przyjaciela, choć była to dziwna przyjaźń. Nigdy nie rozmawiali o rodzinie i uczuciach. Interesowały ich wspólne wyjścia na ryby. Interesowały ich nastolatki spacerujące po plaży (a mieli wtedy po osiemdziesiąt lat - te cudowne czasy już się skończyły). Nigdy nie zwierzały się sobie. Zresztą obydwoj byli typami milczków.

Marzecki spojrzał z niepokojem na szczytówkę wędki. Drgnęła, jak za dawnych czasów. Nie zważając na pisk bioregeneratora poderwał się, chwycił wędkę i zaciął. Łomot pod czaszką dał znać, że ciśnienie krwi podniosło się niebezpiecznie. Czuł uderzenia, nerwową szarpaninę broniącego się życia. Kij pulsował mu w rękach, a kołowrotek wydał z siebie pisk, cudownie współgrający z sygnalizacją przeciążania maszyny leczącej. Kiedy napór od strony wody znikł, Marzecki upadł. Bioregenerator podłączył się do jego komunikatora i wezwał ambulans. Nie był w stanie sam stabilizować oszalałego organizmu. "Cholera, straciłem ją" - pomyślał Marzecki i utonął w smoliście czarnej nieświadomości. Nieprzeniknionej jak rzeka.

\*\*\*

Śnił, że jest silny. Błyszczał rogową smoczą łuską i czuł trwałość tkwiącą w żyłach. I był głodny. Jakże głodny. Pragnął pożreć świat.

\*\*\*

Kiedy odzyskał przytomność, pomyślał o wędce. To głupie, ale taka właśnie była jego pierwsza myśl. O starej wędce ze sklejki, czy z bambusa, będącej prezentem od Johna. Gdy jego wzrok skoncentrował się na sylwetce pielęgniarza, gwałtownie zaatakowały go mdłości. Zamknął oczy, przechylił się i zwymiotował "Senior One" - niezwykle popularnym zestawem obiadowym dla ponadstulatków. Pielęgniarz usłużnie przysunął miskę. Torsje trwały długo.

Kiedy Marzecki w końcu się pozbierał, usłyszał, że jest niepoważny i że tak intensywne sporty jak wędkarstwo nie są dla wiekowców. Miał to w dupie. Myślał tylko o wędce. W końcu wypuścili go i odjechali, zapisując numer identyfikatora.

Kiedy ambulans zniknął za zakrętem, Marzecki stłukł bioregenerator, cisnął go do wody i podszedł do leżącej na kamieniu wędki. Czuł siłę, jakiej nie pamiętał od stu lat. Zaczął ściągać żyłkę. Na haczyku

znalazł łuskę, kształtem i wielkością przypominającą dłoń niemowlaka. Była zimna i wilgotna. Zamknął ją w dłoni i usiłował ogrzać. Nie udało mu się. Łuska była cały czas jednostajnie chłodna - obojętna na wszelkie wahania temperatury.

Do domu wrócił późno, z nowym guzem i starą raną na czole.

\*\*\*

W nocy długo nie mógł usnąć, żadnego snu nie zapamiętał.

\*\*\*

Stanął nad rzeką. Dochodziła osiemnasta. Pływająca dotychczas rodzina zbierała się do odjazdu. Nie zwracał uwagi na ich nerwowe, pełne obrzydzenia przemieszanego z paniką i pragnieniem ucieczki, spojrzenia. Wiedział doskonale jak wygląda i nie przejmował się tym. Martwił się swym dzisiejszym zachowaniem, a nie powierzchownością, która od siedemdziesięciu pięciu lat dzień w dzień nieustannie straszyla go, gdy spoglądał w lustro.

Obudził się późno, zmęczony. Podejrzewał, że przetrzymał noc jedynie dzięki trzem interwencjom zapasowego bioregeneratora, umieszczonego w domu przez wnuczkę. W ciągu dnia nie potrafił się skoncentrować. Myślał, że popracuje trochę w ogrodzie, ale nie potrafił oderwać myśli od wyłowionej wczoraj łuski. Kiedy podniósł ją z nocnego stolika, wciąż była chłodna i wilgotna. Trzymał ją w dłoni długo, jakby próbując zważyć. Wreszcie zrezygnował i nagle, ni z tego ni z owego, wpadł mu do głowy pomysł, aby skontaktować się z Johnem Tylonem. Uruchomił skrzeczącą stację roboczą i przesłał krótką głosową wiadomość. Zdążył nagrać jedynie: "Hej, John, to ja Przemek - jak pamiętasz dalej mieszkam w dolinie...". Potem komputer błysnął srebrno-błękitnym ekranem i transfer danych został przerwany. Marzecki przeląkł się i resztę dnia przesiedział w kącie pokoju, obserwując zwięzające się ściany.

Teraz stał nad rzeką i bał się zarzucić wędkę. Czuł, że właściciel łuski może się o nią upomnieć. Targały nim sprzeczne uczucia. Bioregenerator popiskiwał nerwowo i co chwilę stabilizował oddech i akcję serca. Ostatni czas zmienił go. Odebrał mu resztki sztucznie podtrzymywanego zdrowia. Ropa z rany zaczęła wylewać się na nie zasze bielmem oko i Marzecki pomyślał, że powinien wrócić do domu. Nie zrobił tego jednak. W dłoni wciąż trzymał łuskę i teraz, ze sporym wysiłkiem, którego wymagało uniesienie ręki położył ją na czole. Poczul chłód i stracił przytomność. Kiedy się ocknął po ranie na czole nie było śladu. Mimo ponurego zawodzenia bioregeneratora, drogę do domu przebył biegiem.

## II. Maszyna

*God guard me from those thoughts men think  
In the mind alone;  
He that sings a lasting song  
Thinks in a marrow-bone;*

**W. B. Yeats "A Prayer For Old Age"**

Trochę trwało, nim odważył się przyłożyć łuskę do oka, lecz ciekawość przemogła strach. Po chwilowej utracie przytomności, przebudził się, zaś bielmo na oku zniknęło. Wyrzucił zapasowy bioregenerator, choć wiedział, że sam może zostać przez to wyrzucony z namiastki społeczności, jaką stanowiły dla niego prawnuki. To już go nie interesowało. Sypiał co noc przytulony do łuski. Noce miał coraz lepsze.

Po trzech tygodniach wyglądał, jakby właśnie przekroczył sześćdziesiątkę. Czuł się coraz lepiej i lepiej. Wreszcie, kiedy odzyskał młodość postanowił się uniezależnić. Poznał pięćdziesięcioletnią wdowę mieszkającą niedaleko. Okazało się, że rozumieją się doskonale. Aż dziw, że wcześniej na siebie nie trafili.

\*\*\*

*Jedyna okazja - Cudowny Przemysław M.  
Przyjmie Was i uleczy cały Wasz ból.  
Jeśli macie dość kpiącego z waszej fizyczności świata,  
wybierzcie CPM, w swych komunikatorach.  
- Każdy ma szansę na JEDNO spotkanie -  
Jedynie 700 E\$ - czy zdrowie i szczęście,  
może kosztować tak niewiele?*

Oto treść ulotki, która w połączeniu z cudownymi właściwościami łuski, rozprowadzana w gigantycznych ilościach w pobliskiej Metropolii, uczyniła Marzeckiego najstynniejszym uzdrowicielem świata.

Początkowo klientów było niewiele. Gdyby otworzyli ten biznes bez solidnych podstaw, prosperowaliby przeciętnie. Marzecki, czy też Cudowny Przemysław, jak zwykli nazywać go wszyscy dookoła, miał jednak dar. Leczył naprawdę. I wkrótce jego sława urosła niemal nie podlewana. Jak pustynna roślina. Cudowny Przemysław urósł w siłę, pieniądze i pewność siebie. Zerwał kontakty z rodziną a nawiązał z mediami. Wkrótce nie było już Przemka Marzeckiego. Pozostał Cudowny Przemysław.

\*\*\*

To wszystko przez alkohol. Był tego pewien. Od kiedy odzyskał młodość i błyszczał swym pięćdziesięcioletnim wyglądem wśród równolatków, nie potrafił się powstrzymać.

Początek był piękny. Dar, który otrzymał, zdawał się być zbawieniem. Bożą dłonią, głaszczącą czule podbródek świadomości. Ludzie ustawiali się w kolejkę do leczenia. Prawdziwi bogacze, ci, którzy rządzą tym światem, wyczekiwali tygodniami w swych luksusowych przyczepach kempingowych. Powstał prawdziwy ruch odrzucenia bioregeneratorów. Ludzie palili je na stosach, a potem przyjeżdżali do doliny i oczekiwali błogosławieństwa.

Marzecki był symbolem, lecz po roku załamał się. Nie wiedział, czy stało się to przez codzienną presję oczekiwania wyznawców, czy przez wizytę prawniczki. Odwiedziła go po ponad półtorarocznym, obustronnym milczeniu. Powiedziała, że wstąpiła do Wiecznościowców Meryzanny Dnia Ostatniego. Sekty, która propagowała odmładzanie na wszelkie możliwe sposoby. Wnuczka poddała się już odnowie hormonalnej. Zaszła w ciążę i dokonała opóźnionej aborcji. Hormony, które przedtem się wydzieliły, rzeczywiście zabarwiły jej policzki cudownym różem, lecz Marzeckiemu nie spodobał się ten pomysł. Sam nie wiedział dlaczego. Myślał o tym przez chwilę dręczony przez uporczywego kaca.

Pił od roku, a Lula, owdowiała sąsiadka, która wyszła za niego, wyczyściła konto Marzeckiego i uciekła, kiedy odkryła, że moc lecząca łuski słabnie. Chłodny i wilgotny uzdrowiacz nie ratował już wszystkich, tak jakby jego siła wyczerpywała się.

Marzecki wstał nerwowo, lecz zamiast przytulić się do łuski, sięgnął do chłodziarki i dokonał cudownej porannej "przemiany wina w klina". Dręczony nieprzyjemnym wspomnieniem z poprzedniego dnia, podszedł do komunikatora i odczytał wiadomość: "Wydział Finansowy Doliny informuje, że firma 'Cudowny Przemysław M.' powinna w nieprzekraczalnym terminie 15 dni uiścić opłaty obrotowe w wysokości: E\$ 70000004. W razie nie uiszczenia opłaty WFD podejmie działania prowadzące do ubezwłasnowolnienia płatnika."

Nie mylił się. Choć wczoraj cały świat wirował i stawał się nierealny, wiadomość była prawdziwa. Marzeckiego czekało więzienie, a może nawet Kadz. Przyłożył łuskę do czoła, lecz nie stracił przytomności. Łuska była ciepła i nie poprawiała już zdrowia. Zrezygnowany sięgnął po kupiony, gdy łuska zaczęła słabnąć, bioregenerator i podłączył go. Stabilizacja zadziałała - wytrzeźwiał i poczuł się lepiej, choć suchość w ustach wciąż go męczyła.

Ukrył łuskę w kieszeni i zaczął zastanawiać się, jak wywinąć się z tego wszystkiego.

Pod zablokowanymi drzwiami czekała masa potencjalnych klientów. Mógł przyjąć kilku i zdobyć pieniądze na ucieczkę. Gdyby jednak otworzył drzwi, musiałby obsłużyć wszystkich. Zamarzył, aby być fryzjerem. Kiedy ten zamyka swój mały kramik, nikt nie krzyczy. Ludzie nie zabijają się w kolejce do nożyczek i maszynki do włosów. Miałby spokój. Ale teraz kiedy otwierała się przed nim perspektywa wielkiej afery, czy może nawet linczu, myślał tylko o ucieczce.

\*\*\*

Zszedł do piwnicy.

Zaduch był potworny. Stare ziemniaki, ułożone tutaj przez pierwszą żonę Marzeckiego jakieś 70 lat temu, spleśniały, wyschły, zamokły, spleśniały po raz kolejny i uzyskały własną tajemną świadomość. Marzecki czuł się trochę jak te ziemniaki. Miał wrażenie, że zaczyna się rozkładać. Jakby starzał się w błyskawicznym tempie. Gdy spoglądał na swoje ręce, te dalej były młode, lecz wewnętrznie czuł już rozkład tkanek. Może rozkład duszy. Łuska w kieszeni nagrzewała się coraz bardziej. Teraz wprost płonęła żywym ogniem. Topiła się.

Ruszył w kierunku awaryjnego wyjścia, przechodzącego pod wałem przeciwpowodziowym i otwierającego się na ścieżkę prowadzącą do rzeki. Kilukrotnie wdepnął w coś nieokreślonego i co chwila zderzał się z belkami mocującymi strop. Wreszcie dotarł do niewielkich drzwiczek, które z trudem otworzył. Chłód powietrza ogłuszył go. Niekończące się lato tym razem było chłodne. Najcieplejszą rzeczą w promieniu setek kilometrów była oszałała od żaru łuska w kieszeni Marzeckiego. Zachwiał się, ból przeszył lewą stronę jego ciała. Z wysiłkiem położył się w trawie. Zanurzył twarz w pobliskiej kałuży i pozwolił bioregeneratorowi wykonać swą pracę.

\*\*\*

Gdy poczuł się trochę lepiej, zdecydował, że musi dotrzeć do rzeki. Nie myślał zbyt jasno, w głowie tkwił mu pomysł, by uciekać tratwą. Widział kiedyś holofilm o samotnym rozbitku, który usiłował uciec w ten sposób przed dzikim ludźmi, rzucającymi w niego dżdżownicami. Ci ludzie byli kanibalami. Tak właśnie postrzegał tłum czekający pod jego domkiem. Chcieli uczynić zeń rożen, opiec nad ogniskiem swych nadziei i odebrać mu całą młodość. Nie mógł do tego dopuścić. "Tratwa" - pomyślał - "to mój jedyny ratunek".

\*\*\*

Kiedy dotarł nad rzekę spostrzegł różnicę z swoim stanem. Czuł się lepiej, a ukryta w kieszeni łuska znów była chłodna. Wyciągnął ją z kieszeni. Opalizowała, w jej wnętrzu jakiś szalony Bóg umieścił miliony tęczy. Z wahaniem przyłożył nowonarodzoną łuskę do czoła. Nie stracił przytomności. Mimo, że pozornie poczuł się lepiej, zaczęło dręczyć go pragnienie. Przymknął oczy, odruchowo zatkał nos i skoczył. Chłodna woda obmyła jego ciało, teraz także coraz chłodniejsze. Czuł wszystkie wodne prądy, częściowo już nim kierujące. Wyprężył się i zanurzył głębiej. Nie czuł już łuski na czole. Resztę jego ciała równomiernie pokrywały zrogowacenia. Ukrył się pod kamieniem i usnął z otwartymi oczyma. Czekał na noc.

### III. Ryba

*Widzę w morzu dwie ryby lśniące okazale,  
Co bez ciała i ości wody swe wzburzają,  
I soki swe w cudowne przelewają fale,  
Które byt im nadały i grobem się stają,*  
**Clovis Hesteau de Nuysement "Wizje hermetyczne"**

Łowy miały trwać wiecznie. Gdzieś na zewnątrz Marzecki dalej był świadomy. I cholernie szczęśliwy. Przecinał wodę w poszukiwaniu ofiary. Tkwił tuż ponad samym sobą, może gdzieś w kościach czaszki, lub w ciemniaczkach utrzymujących czaszkę w całości. Zatrzymał się przy dnie i zapłodnił kilkadziesiąt tysięcy ziaren ikry. Był dumny ze swej godowej wysypki i pełen energii. Był młody. Wpłynął w prąd i dał się znieść sile żywiołu. Nie wysiłał się ani trochę. W pewnej odległości ujrzał ławicę uklejek wypoczywających w prądzie i ruszył na nie. Zaatakował szybko i pewnie. Ukleje rozpierzchnęły się na wszystkie strony. Jedna, niewielka, w panice wpadła mu do pyska. Zbliżył się do dna i zaczął trawić. Teraz był także najedzony.

\*\*\*

Żył z niewielkim stadem już od trzech dni. Nie miał ochoty wracać. Jedyne o czym marzył, to o kawa. Naprawdę miał ochotę wypić gorącą filiżankę wywaru z afrykańskich roślin. Zapominał o tym jednak podczas żerowania. Otarł się o niewiele mniejszego osobnika i ruszył w kierunku tonącej w zwolnionym tempie biedronki. Zdjął ją z powierzchni wody i powrócił na swoje miejsce w szeregu. Woda była chłodna i mimo gorącego dnia dawała wytchnienie. Nie lubił zbliżać się do zbyt nagrzanego powierzchni i do gorących płycizn.

\*\*\*

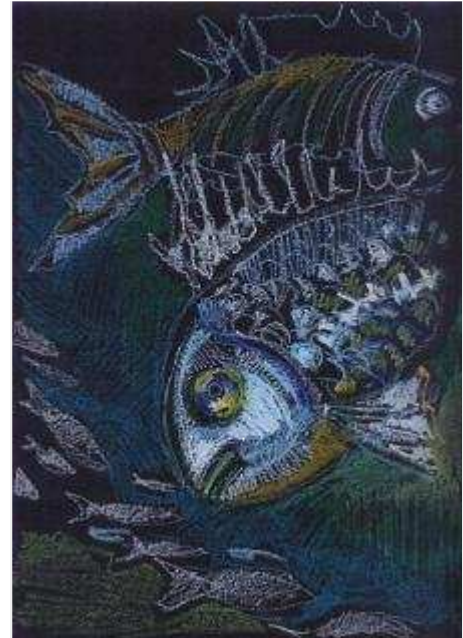
Kiedy obudził się następnego dnia, od razu spostrzegł niewielką rybkę, prawdopodobnie strzeblę, płynącą żwawo w stronę brzegu. Popłynął za nią. Wreszcie, kiedy żwir płycizny był niebezpiecznie blisko, zdecydował się uderzyć. Otworzył szeroko paszczę i zaatakował. Zaatakował. Zaatakował.

\*\*\*

"Warto było" - pomyślał John Tylon, gdy poczuł tępe uderzenie oznaczające branie. Spory kleń musiał zeżreć błyszcz niezwykle głęboko, bo mimo niekontrolowanego zwrotu nie wypiął się. John przyjechał tutaj na, jak mu się wydawało, zaproszenie starego przyjaciela Marzeckiego. Zbierał się długo, lecz kiedy rodzina kupiła mu nowy, wschodni bioregenerator, poczuł się na siłach. Na miejscu okazało się, że Marzeckiego, który w międzyczasie zdążył wcześniej rozkręcić jakiś podejrzany interes, nikt nie potrafi zlokalizować. Prawdopodobnie uciekł.

Tylon wynajął pokój w dolinie i wyszedł na ryby. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Teraz, kiedy holował swoją pierwszą od dziesiątek lat złowioną rybę, poczuł pełnię szczęścia, choć trochę żałował, że nie ma z nim Marzeckiego. Ciągnął ostrożnie, aż ujrzał szeroki, szarawy grzbiet klenia. Pokryty wielkimi łuskami. Lśniący w porannym słońcu.

**Koniec**



**Piotr Lenczowski** - Za jego debiut można by uznać publikacje w SF (nr.19). Wszystkie wcześniejsze okołoliterackie wydarzenia w jego życiu mają charakter "niebyłych". Ostatnio widywany w podejrzanym towarzystwie swego psa. Spaceruje z nim, usiłując zapomnieć błędy młodości, wśród których znajduje się między innymi dawna publikacja w pewnym czasopiśmie branżowym. Młody duchem i ciałem. Umysłowo - pijany pięciolatek. Zodiakalny Wodnik, ale nikt nigdy nie wyjaśnił mu co to znaczy. Zaciekły zwolennik kilku starych powieści, najczęściej bezimiennych i anonimowych, bo książki, które czytał w młodości zwykle pozbawione były okładki, strony tytułowej i kilku pierwszych rozdziałów. Niektórzy podejrzewają, że to dlatego zaczął pisać. Po prostu musiał dorabiać wstępy do czytanych historii. Cała reszta twierdzi, że jest po prostu popieprzony.